

*Poświęcam te kilka kartek Panu profesorowi **Stanisławowi Sławińskiemu**, dziekanowi wydziału Elektroniki Politechniki Warszawskiej w marcu 68. Poświęcam mu, za jego szlachetną postawę w tym okresie i za odwagę, nie tylko cywilną... Ja się czynnie nie angażowałem. Byłem młody, nie wiedziałem o co chodzi. Praktycznie nic nie wiedziałem, byłem tylko naocznym świadkiem wydarzeń marcowych. Brałem osobisty udział w zajściach marcowych jako bezimienny i nic nie znaczący uczestnik. Znam wielu rówieśników i starszych kolegów którym pan profesor uratował „skórę” swoją postawą i zaangażowaniem...*

Pierwszy dzień, ósmy marca 68 roku, to było nowe życie. Po południu dostałem indeks z rąk dziekana, pana profesora Stanisława Sławińskiego. Uroczystość nie trwała długo, więc po południu, w ramach integracji z nowymi kolegami poszliśmy połączyć się po Starej Warszawie, zobaczyć ruiny Zamku Królewskiego i pooddychać powietrzem stolicy. Przejście na piechotę z Politechniki, ulicą Koszykową przez Świętokrzyską do Nowego Świata trwało około pół godziny. Już na ulicy Świętokrzyskiej i w alejach Jerozolimskich było widać dziwny, wzmożony ruch. Jakieś ludzkie ruchy Brauna. Młodzi ludzie biegali, krzyczeli, ale to były grupki kilku, kilkunastoosobowe. Na Nowym Świecie koło pomnika Kopernika zebrało się dużo osób, bardzo dużo, tłumy. W pewnym momencie wszyscy zaczęli uciekać do kościoła św. Krzyża. Nie zastanawiając się robimy to samo. To była dobra decyzja, bo milicja rozpoczęła palowanie.

Nie rozumiałem powodu tej napaści. Pierwszy raz widziałem coś takiego. Byliśmy zdezorientowani. My studenci pierwszego semestru-Teletransmisja S 21. Personalnie pamiętam z tej grupki tylko Rysia Kleczyńskiego i Kryskę Gromadzką. Tłum gęstniał. Po pewnym czasie odważyliśmy się wyjść ze świątyni i kontynuować wycieczkę, ale powstał kłopot bo zgubił się nasz kolega, Rysio. Próba odszukania go nie dała rezultatów. Z tłumem doszliśmy do skwerku przed następnym kościołem. Z powodu ścisłości i okoliczności przyrody to przestał być spacer. Na tym

skwerku był pomnik Adama Mickiewicza, ale wtedy go nie widziałem, znaczy chyba widziałem, tylko nie wiedziałem, że to wieszczę, a może patrzyłem na coś innego. Oczywiście miałem z każdej strony głowy. Zaczynały latać petardy i płytki chodnikowe, te mniejsze. Było nieciekawie, a co będzie zaraz, potem? Nie musiałem być jasnowidzem, by wiedzieć, że taka zabawa może się skończyć smutno dla uczestników. O co chodziło, nie wiedziałem. Kto ma pretensje, do kogo, o co? Wszystko miało wymiar sensacji, niezdrowej, ale podniecającej sensacji. Czułem napływ adrenaliny, nieważne z jakiego powodu. Tłum rósł. Mnóstwo młodych ludzi. Studenci, może starsi licealiści i chuligani, tych ostatnich widziało się w nadmiarze w tym miejscu. Wtedy i później, wielokrotnie zastanawiałem się skąd się ich tyłu „wytrzasnęło” oraz jacyś agresywni robotnicy. Robociarze skandowali: „Wiesław, Wiesław”, albo krzyczeli: „studenci do nauki” lub „niech żyje towarzysz Wiesław”!

Na własne oczy widziałem jak na Stare Miasto zajęchały autokary z uzbrojonymi po zęby milicjantami, maski na twarzach, nie maskujące tylko ochraniające! Ochraniacze, tarcze, hełmy i „pasztetowy”. Zaczęła się rozróbka z rzucaniem kamieni, petard i parkowych ławek. Chuligani byli wyjątkowo sprawni i pomysłowi w walkach ulicznych. Robotnicy też. Studenci nadrabiali odwagą i brawurą. Strasznie mi imponował ich brak strachu przed milicją. Jak odrzucali petardy z gazem łzawiącym, w ostatniej chwili, ale nie za późno. Petardy wybuchały w szeregach milicjantów, siejąc prawdziwe spustoszenie. Po paru latach, po odbyciu stażu w Batalionie Specjalnym w Dziwnowie, w Czerwonych Beretach, po pewnych własnych doświadczeniach i rozmowach z różnymi ludźmi, doszedłem do wniosku, że mogli to być podstawieni prowokatorzy. Byli za sprawni, byli obcy w walkach w tłumie, mieli zimną krew i zachowywali się tak, jakby nic im nie groziło, a przecież podnosili rękę na władzę! My, studenci od kilku godzin mieliśmy duszę na ramieniu. Widzieliśmy nieciekawe perspektywy. Postanowiliśmy wracać do domu akademickiego.

Wieczorem w Dzienniku Telewizyjnym widziałem nie do końca prawdziwe informacje na temat zajść, których byłem naocznym świadkiem i dalej nic nie rozumiałem. Dlaczego służby porządkowe były takie agresywne? Jakie były powody i kto inspirował te zajścia i dlaczego? Tego też nie wiedziałem. W tak zwanym międzyczasie wrócił Rysio Kleczyński. Był lekko przestraszony.

Kiedy ewakuowaliśmy się bez własnej woli do kościoła św. Krzyża,

to na kościelnych schodach, od strony ul. Świętokrzyskiej wylegitymowało go dwóch milicjantów i przeprowadziło do pierwszej bramy w kierunku budynku Komitetu Centralnego. To była przejściowa brama i z drugiej strony stały „suki”-milicyjne więźniarki. W tej bramie, pod ścianami niebiescy z pałami oczekiwali na delikwentów-pacjentów. Nasz kolega widząc, co się święci zaczął się wyrywać, ale na darmo. Funkcjonariusze go zrewidowali. Miał przy sobie tylko legitymację studencką. Zabrali mu ją i chcieli go zmusić, żeby wszedł do bramy i zaliczył tzw. ścieżkę zdrowia. Z opresji wybawiła go jakaś starsza kobieta. W trakcie szamotaniny podeszła i ostrym tonem kazała Rysia puścić. Wywiązała się ostra sprzeczka słowna i koleś korzystając z zamieszania, wyrwał się i uciekł. Relacjonując mi to był zdenerwowany i przestraszony. Legitymację stracił. Padła łupem milicjantów. W ciągu kilku dni bez problemu, po wyjaśnieniach pan dziekan wydał mu nową.

Miałem osiemnaście lat i świat leżał u moich stóp. Tak mi się wydawało. Nic nie rozumiałem, polityką się nie interesowałem. Myślałem tylko o sobie i z ufnością patrzyłem w przyszłość...

Rano, dziewiątego marca 1968 roku, byłem pierwszy raz na prawdziwych zajęciach. Ludzie którzy mieszkali w Warszawie, przebąkiwali, że ma być (czy jest) jakiś strajk okupacyjny. Nie wiedziałem co chodzi. Wykład zaczął się punktualnie i normalnie. Matematyka. Nic nie wskazywało, że coś jest nie tak. Wykładowca(później okazało się, że to był profesor Wojciech Żakowski, znany autor kursu matematyki dla kandydatów na wyższe uczelnie techniczne), ze swadą przeprowadzał wywód. My pilnie notowaliśmy. Pierwsze notatki. Nagle jakiś hałas, rumor. Wszyscy się odwrócili, z wyjątkiem prowadzącego zajęcia... Na salę weszło kilku mężczyzn. Panie profesorze, nie słyszał pan, że na uczelni proklamowano strajk? Jesteście łamistrajkami? Czy mamy użyć siły?... Nikt nie lubi być łamistrajkiem, nawet jak nie wie o co chodzi... Ja nie wiedziałem, ale myślę, że wykładowca wiedział. Profesor wyraźnie stracił chęć kontynuowania zajęć, zwłaszcza, że ci co przyszli byli jacyś bardzo stanowczy. Nie agresywni, ale stanowczy.

Panie i panowie, najlepiej wracajcie do domów, do akademików, nie wiadomo, co się będzie działo...Na pewno sytuacja wkrótce się wyjaśni... Profesor próbował jakoś się znaleźć w tej niezręcznej sytuacji.

Zdezorientowani, spakowaliśmy czyste notatniki, jakieś podręczniki i chcieliśmy wrócić do domu, na Wolę. Przy wyjściu z wydziału Elektroniki stała grupa szturmowa milicji. Kilkunastu. Jak kosmici. W

pełnym rynsztunku. Hełmy z osłonami twarzy, ogromne tarcze. Wszyscy uzbrojeni w „pasztetowy”- ogromne pały, w kolorze białym, dużo większe od standardowych. Połowa tych kolesiów, patrząc na nas wyzywająco, biła się tymi „pasztetówkami” po udach, a druga połowa głośno waliła pałami w swoje otwarte dłonie. Nagle zrobiło się zamieszanie. Nie widziałem co się stało. Jakieś krzyki, wrzaski... ktoś oberwał, jeden, drugi, trzeci... Ktoś leżał. Ktoś histerycznie krzyczał. Rozglądałem się zdezorientowany. Zacząłem tak jak inni uciekać. Goniło nas kilku przedstawicieli władzy uzbrojonych po zęby. Biegliśmy wzdłuż budynku Wydziału Elektroniki w kierunku bazaru na Polnej. Na początku śmiałem się histerycznie z tej sytuacji. Podobnie było w mojej młodości, kiedy żule ze Starówki w Lublinie, moi rówieśnicy, sprawdzali czego się nauczyliśmy na kursie samoobrony. Wtedy, też uciekaliśmy, ale szanse były równe, ze wskazaniem na chuliganów. Żadnych narzędzi. O pasztetówkach nie wspomnę!!! Kto się wówczas zatrzymał, kto zwolnił ten poległ. Tu było tak samo. jakaś dziewczyna z naszej grupy potknęła się i wywróciła. ”Bohaterzy”-przedstawiciele władzy zaczęli ją okładać leżącą pałami. Kopali ją, gdzie popadnie. Każdy potężnie zbudowany. Wypasiony. W tę ciężką pracę wkładali dużo energii, zaangażowania, jakby nie robili tego bezinteresownie. My dżentelmeni uciekamy dalej... Ktoś zauważył, że goni nas już tylko dwóch aktywistów, nadgorliwców. Reszta została przy leżącej. Wstąpił w nas szal, duch walki, proporcje sił zmieniły się diametralnie. Ktoś tam dostał, tłum ogarnęła histeria i żądza mordy... Kamer jeszcze wtedy nie było, video też nie... Więc ryzyko poniesienia konsekwencji jakby mniejsze. Z resztą nie było czasu na spekulowanie... niejednego piekły plecy, niejeden kulał.

A jeszcze rano każdy z nas był pacyfistą, pierwszy raz szliśmy na wykłady. Na wymarzoną uczelnię....

Milicjantów było dwóch, nas wielokrotnie więcej. Byli zdziwieni, pewnie nie często znajdowali się w tak nie komfortowej sytuacji... Z psa gończego zrobił się zając, a potem mięso z zająca. Zabraliśmy im tarcze, hełmy i „pasztetówki.” Bardzo szybko znaleźli się w „parterze”, zapoznali się z glebą... Tłum był w morderczym amoku, każdy chciał przywalić, kopnąć leżącego, chociaż podobno w cywilizowanym świecie tego się nie robi... Tego dnia karząca ręka władzy ludowej nie mogła zaliczyć do udanych. Jak pięciu, albo więcej wściekłych na jednego to i pała nie pomoże, nawet model bojowy, najnowocześniejszy.

Tryumfalnie wróciliśmy, tam skąd pół godziny temu wyszliśmy,

czyli na wydział, niosąc tarcze i pasztetówki, przymierzając zdobyczne hełmy. Z tym trumfem, to nie było tak dobrze do końca... Raczej po chwilowej euforii każdy miał portki pełne, ze strachu: co to będzie...

Tymczasem od ulicy Polnej zajechały ciężarówki, z których wygrużyło się z pięćdziesięciu milicjantów. Szli oni spychając i waląc wszystko co się ruszało na ich drodze, ewentualnie pobitych wrzucano do „suk”-więźniarek do transportu zatrzymanych. W międzyczasie dowiadujemy się, że Gmach Główny jest zamknięty. Rektor Smoliński podjął taką decyzję. Jedyne azyl stanowił wydział Elektroniki. Nie tylko nie był zamknięty, ale dosłownie otwarty na rościę, bo ogromne szyby na parterze zostały wybite. Tysiące kawałków szkła leżały na chodniku i trawniku. Na wejściowych schodach kłębił tłum starszych kolegów... Przed dziesięcioma minutami odparli zmasowany atak niebieskich i też zdobyli tarczę i hełm.

W tym samym czasie dowiedziałem się od innych kolegów, że pół godziny wcześniej dziekan, pan profesor Stanisław **Sławiński** kazał otworzyć drzwi do budynku Elektroniki, żeby bici studenci mieli gdzie się schronić. Tak to uratowano niejednego przed pobiciem i innymi konsekwencjami, do przyjemnych nie należącymi...

Aktualny stan uzbrojenia aliantów to trzy hełmy, trzy tarcze i dwie pasztetówki. Czekaliśmy na rozwój wypadków wymieniając się informacjami z „frontu”. Dalej nie rozumiałem dlaczego, ktoś mówił coś o Mickiewiczu i o „Dziadach”. Co do tego maja Żydzi? Kto to Kuroń, Michnik, Modzelewski? Jacy komandosi? Jacy spadochroniarze?

Zastanawialiśmy się co dalej robić, oczekując na pacyfikację, „zbroiliśmy się”. W pierwszym boju, pod naszą nieobecność zostały już skutecznie wypróbowane kute popielnice i szturmówki. Skąd wziąć coś jeszcze? Bardzo pomocny okazał się stary portier, który przyniósł skrzynkę mleka pełnotłustego, butelkowanego i dwie duże gaśnice. Nie wiedziałem poco, przecież się nie paliło. Mleko było gratis, trzeba było wypić albo wylać. Butelki robiły za koktail Mołotowa dla ubogich i bezbronnych. Na bezrybiu i rak ryba ! Czekaliśmy na rozwój wydarzeń. Ja też czekałem, że mi” ręka uschnie, albo ją odrąbiają”, jak sugerował premier Cyrankiewicz i ówczesny I sekretarz Partii, Władysław Gomułka. A tu nic! Kilka godzin minęło. W oczekiwaniu na pacyfikację, jakoś nic się nie działo i generalnie nikt nie ucierpiał, poza nieoczekiwaną robotą dla spółdzielni szklarskiej.

Funkcjonariusze zgrupowali się przed wydziałem, na placu Jedności

Robotniczej, my w środku i były tylko wykrzykiwane jakieś „przepychanki słowne”. Najbardziej aktywni z obu stron, głównie krzyczeli co sądzą o mamusiach swoich interlokutorów. Poleciało też kilka, czy kilkanaście butelek po mleku i piwie, chyba piguły śniegowe też. Granaty łzawiące użyto na Uniwerku, u nas nie. Może nie mieli, a może nie było rozkazu? I to wsio !. Ktoś w ferworze walki słownej uruchomił gaśnicę, ale bez potrzeby... Hełmy i pały w końcu zostały oddane właścicielom, po jakimś czasie, które zapewne po zaopatrzeniu medycznym, do domu się nie udali. Nie mieli siły. Taki zawód, ale „za konsekwencje” nikogo nie pociągnięto. Obie strony konfliktu, którego nie rozumiałem, czekały... chyba nie było wyraźnych wyraźnych dyrektyw, to były pierwsze godziny starcia. Później, spokojnie, już bez incydentów wszyscy udali się w „rejony zakwaterowania”: władza i studenci. Z dużej chmury mały deszcz, a już obawiałem się, że „zaliczę” dołek i atrakcje z nim związane... Wyobraźnia pokazywała mi ścieżki zdrowia i sbowców w akcji... Na koniec refleksja i rodzaj szoku, bo przeżyłem coś, co do tej pory nie było mi dane. Jeszcze dzień wcześniej byliśmy tacy grzeczni, kulturalni, młodzi. Nie znaliśmy poczucia bezradności, bezsily i przemocy. Bez powodu przeżyliśmy rodzaj gwałtu. Z wszystkimi szykanami... Po incydentach i nieoczekiwanych atrakcjach z milicjantami byliśmy już tylko młodzi.

Po południu, wróciliśmy do akademika, na Wolę, na ulicę Księcia Janusza. Wieczorem narada, co robić? Już było wiadomo, że zajęć nie ma aż do odwołania. W telewizji, w specjalnym programie na tę okazję oglądałem chuligańskie wybryki ludu warszawskiego...

W nocy poczułem jakiś dziwny ból pleców. Rano z Maćkiem Puchałą, góralem z Limanowej, kolegą z grupy i pokoju obejrzałem, co mnie boli. Okazało się, że mam na plecach ogromnego przekreślonego plusa. Każdy odciskiemy element miał około 30cm. To owoc wczorajszych zabaw... Te pręgi przez ponad miesiąc, zmieniały kolor wielokrotnie. Najpierw był czerwony, potem granatowy następnie brązowy, aż do seledynowo-żółtego. Ostatni ślad siniakowy znikł po prawie 2 miesiącach, dawno po strajku... Gdyby to nie były moje plecy, to powiedziałbym, że kolory były malarsko inspirujące.

Dziesiątego marca moi współspacze postanowili zostać w domu. Mieli dość wrażeń z wczorajszego dnia, bali się represji, a ja mimo wszystko zamierzam jechać na uczelnię. Gdybym się radził rodziców, to Matka by mi radziła zostać, a Ojca nic by to nie obchodziło. Rób jak

chcesz. On by raczej pojechał. W kwestiach pedagogicznych moi rodzice rzadko mieli takie samo zdanie. Zwyciężyła opcja Ojca. Jadę! Na wydziale pustki. Prawie nikogo nie widać. Cisza. Spokój. Tylko wczorajszy bałagan, jakieś połamane krzesła, szkło i wyschnięta piana gaśnicza. Poza tym nic się nie działo. Portier, wczorajszy zbrojmistrz studentów radzi mi pójść do Gmachu Głównego.

Wyszedłem na Plac Jedności Robotniczej. Teren starej Politechniki był solidnie ogrodzony, wysokim kutym płotem. Masywne ogromne drzwi wejściowe skutecznie wytrzymują napór setek ludzi. Przed wejściem do uczelni tłumy, niezliczone. Setki osób. Nie studenci. Robotnicy. Starsi ludzie. Uczniowie i studenci. Niesamowity tłok. W drzwiach wejściowych Gmachu Głównego stało czterech- pięciu potężnie zbudowanych studentów, którzy wpuszczali za okazaniem legitymacji. Wchodzę. Nikogo nie znam. W auli zbierają się tłumy. Tysiące. Oblepione są krużganki, każdy metr kwadratowy wolnej powierzchni. Idę po schodach na krużganki, obejrzeć co się dzieje, bo z lotu ptaka widać lepiej. Jestem zdezorientowany, dalej nie wiem o co chodzi. Ktoś narzeka na cenzurę, ktoś na prawdomówność dziennikarzy, wszyscy krytykują działalność milicji. Atmosfera patriotyczno- piknikowa. Co chwila ryki śmiechu, jakieś śpiewy, ktoś walczy z mikrofonem... Władze uczelni nawołują do spokoju i rozwagi.

Robię obchód Gmachu Głównego. W między czasie zaczyna się wiec. Informacyjno-agitacyjny. Ktoś z władz uczelni, chyba rektor Smoliński mówi przez mikrofon, że z tłumem nie będzie ani rozmawiać, ani dyskutować... Tłum wył i gwizdał. Ktoś krzyczał w odpowiedzi, że Lenin rozmawiał.

Przez 5 minut nieustający ryk śmiechu. Ludzie przemawiali, co chwila jakieś oklaski, gwizdy, śmiechy, jakieś agitacje... Podawano przykłady dziennikarskich kłamstw. Za chwilę tłum skanduje "Prasa kłamie". Ktoś z trzeciego piętra zrzuca z krużganków płonące egzemplarze "Trybuny Ludu". To riposta na hasło "prasa kłamie" i znowu od początku skandowanie "pra-sa kła-mie". Było to najpopularniejsze hasło tego dnia. Opinie o milicjantach i cenzurze wyrażane bardzo głośno- miały charakter wybitnie pejoratywny. Przyłączyłem się do grupki kilkunastu studentów, po chwili zakolegowałem się z jakimiś dziewczynami z Poligrafii. Poczęstowały mnie kanapkami z białym serem i herbatą z termosu.

Tłumy rosną, na oko było już kilkanaście tysięcy manifestantów.

Atmosfera wesoła, jeżeli nikt nie przemawiał, to bawiliśmy się skandując hasła: "Młodzież bananowa z Gołędzinowa" (podoficerska szkoła milicji obywatelskiej), "Kłamcy z Mysiej", "Dać matury tym z cenzury"... (siedziba cenzorów prasy i widowisk była na ulicy Mysiej koło Komitetu Centralnego). "Każdego tajniaka do powszechniaka"- nie było to hasło wysokiego lotu, ale byłem na prawdę dumny z siebie, cała aula Politechniki skandowała to, co ja wymyśliłem przed chwilą, spontanicznie, ja student z dwu dniowym stażem. Satysfakcję mam do dzisiaj. Najpierw krzyknąłem ja, potem dwie-trzy osoby przy mnie, potem kilkanaście, potem kilka tysięcy i wszyscy... kilkanaście tysięcy gardeł płci obojga skandowało "Ka-żde-go taj-nia-ka do po-wsze-chnia-ka". Wydawało mi się, że mam charyzmę i mogę pociągnąć za sobą tłumy... Spotkałem wtedy Romka D. z Zamoja, z Lublina, nie pogadaliśmy, bo się bardzo spieszył. W Komitecie Strajkowym odpowiadał za spanie i jedzenie, Pierwszej nocy strajku spało tam około dwu tysięcy studentów. Romcio się pochwalił, że tak jak ja, wstępnie zaczął się integrować z dziewczynami z Poligrafii, ale starszymi.

Mieszkańcy Warszawy spontanicznie przynosili jedzenie. Jacyś rzeźnicy dostarczyli wędliny, jacyś rolnicy dowieźli owoce, piekarze-chleb i bułeczki. Obok Politechniki, na ulicy Koszykowej były dwie cukiernie, jedna obok drugiej... pana Wróbla i pana Jana Donieckiego. Przez cały dzień, donosili oni na wyścigi dziesiątki blach z ciastkami. Różne. Najczęściej pączki i bajaderki. Najadłem się tych ciastek, aż do bólu brzucha, do dzisiaj nie jadam bajaderek Rozczulał mnie widok staruszek, nie tych eleganckich damulek, tylko zabiedzonych, biednych emerytek. Babcie w wytartych paltach i chustkach, nasze kochane babcie, z dymiącymi litrowymi słoikami-veckami jakichś zup. Do dzisiaj je widzę, jak przez sztachety kutego płotu podawały zupę strajkującym studentom.

W takich momentach Polacy są bardzo solidarni, inne nacje mogą nam zazdrościć poświęcenia i chęci niesienia pomocy w potrzebie. Jak się stabilizuje sytuacja polityczna, zaczyna być normalnie i publiczne sprawy mało kogo obchodzą. A politycy „dostają zajoba.”

Po kilku dniach strajk jakoś się zakończył, w miarę bezproblemowo dla mnie. Nie wiedziałem o co walczymy, ale walczyłem. Było bardzo, bardzo, ale to bardzo przyjemnie. Że „prasa kłamie”, nie miało to dla mnie większego znaczenia i tak nie czytałem wtedy gazet...Do dzisiaj mam znajomych ze wszystkich wydziałów Polibudy.

W swoich odczuciach nie byłem odosobniony. Palacz w akademiku

na Woli, też chyba nie bardzo wiedział o co chodziło. Przez te kilka dni ciągle powtarzał, jeszcze nie zaczęli się uczyć, to o nas, o tych co zaczęli studia 8 marca a już panie strajkują. Co z tego będzie? Żadnego poszanowania, żadnych zasad...

Lechosław Pepe Piasecki Grupa S21 Info@pepepiasecki.pl

Pisane 23.03.06 warszawa